

WANDA MIŁASZEWSKA

31)

Cmentarz i sad

Nastawał też Karol bardzo, żebym Jurka zostawiła u niego. Obiecywał, że z nim będzie postępował po ojcowsku, zupełnie, jak gdyby wychował już z pół tuzina dzieci... Nie zgodziłam się na to, bo nie wierzę w pedagogiczne zdolności Karola. Zresztą, jego dom, to prawie pałac, na każdym kroku zbytkowne sprzęty, nieraz chłopiecy coś potłukł czy popsuł, a Karol na pewno przez delikatność zniósłby wszystko, ale nieraz żałowałby swej propozycji. Przytem — Jurkowi lepiej będzie w atmosferze kolegów i szkoły. Musiałam tylko obiecać Karolowi, że będzie mógł zabierać Jurka w niedzielę na spacer, a czasem do teatru, albo na jakiś koncert. Bardzo się boję, żeby mi chłopca nie zlamali, bośmy z Adamem zawsze narzyli, żeby wychować dzieci na ludzi, umiejących kontentować się małym.

Rozpisałam się, jak chyba nigdy. Jurek też siedzi i mczoli się nad listem do „wujaszka”; pewnie go Klemens otrzyma razem z moim, choć Jurek odgraża się, że wyśle list „osobno” i już mi nawet prosił o markę pocztową. Ciężko mi rozstawać się z moim jedynakiem. Jak chłopiec wchodzi w okres szkolny, to już jakby stracony dla matki... Potem go życie porwie i odciągnie daleko, choćby nawet był najlepszym synem. Taka już dola matczyna, że wychowuje dzieci nie dla siebie, lecz dla innych. Oby tylko ci inni, a właściwie ta jedna, z którą los go oplączy, dała mu szczęście, o to gorąco się modlę. Zresztą, co tu myśleć o tak dalekich czasach, których pewno nie doczekam. Nie wiem, skąd mi się zebrało na taki długi list. Oł, Warszawa, okropne miasto. Nie lubię tego gwaru, tych ulic, wołę porozmawiać listownie z Klemensem, chociaż niedługo będziemy gawędzili częściej, niż zwykle, o moim chłopcu...

Do widzenia Klemensie. Proszę o konie na środę rano. Aha, jeszcze jedno: Jurek kazał bardzo podziękować Krystynie za te śliwki suszone na patykach. Ogromną miał niespodziankę, że ich napakowała chyba z pół walizy, i obiecuje, że Krystynie piękny jakiś upominek na Boże Narodzenie przywiezie z Warszawy. Karolina”.

Prócz listów, były w „Księżce Umarłych” fotografie mego rodzeństwa i matki, oraz różne drobne po nich wszystkich pamiątki. Były tam pukle z włosów, wklejone na zblakłych wstążeczkach, była jakaś laurka imieninowa, namalowana przez siostrę moją, Helenkę, która umarła w wieku podlotka na szkarlatynę. Były też różne daty i uwagi, wpisane ręką wujaszka, była wreszcie osobna paczka, owinięta starannie i opatrzona napisem: „Listy Ojca Dobrodzieja”.

„Ojciec Dobrodziej”, cioteczno-cioteczny mój dziad Eustachy, były legionista naopleński, pouczał w tych listach syna swego, Klemensa, że „bez Boga nic, a z Bogiem wszystko” i w każdym niemal liście, do jakiegoś „Korpusu”, adresowanemu, załączał modlitwę — po łacinie, której się radził wyczytać na pamięć i odmawiać na klęczkach, przynajmniej raz dziennie. Bywały też w tych listach przestrogi, jak to: „Bacz, aby mowa twoja czystą i rozumiałą była, gdyż helkot niewyraźny jest lekceważeniem słuchacza twego i nieposzanowaniem mowy rodzinnej, mowy przodków twoich”. Albo: „Być uprzejmym i wyrozumiałym wobec wszystkich bliźnich, wielką jest zaletą wieku młodzieńczego”. Albo: „Pilnuj, abyś się ludziom nie narażał, nie będą się i oni tobie”.

Wszystkie listy, kolejno, według dat ułożone, opatrzył wuj Klemens uwagą: „Pisane świętą Ręką mojego Ojca Dobrodzieja w dniu... roku Pańskiego...”

Czytałem właśnie te listy, gdy płomień lampy zadrgał po raz ostatni i zgasł, a w pokoju rozpanoszył się już na dobre dzień, nieco jeszcze liliowy i tajemniczy od mroków, czyhających się po kątach. Na cienie zdawały się skrywać, to znowu odsłaniać litery, pisane wyblakłym artamentem:

„...En ego, o bone et dulcissime Jesu, ante conspectum tuum genibus me provolo, ac maximo animi ardore te oro atque obtestor, ut meum in cor vividos fidei, spei et caritas sensus, atque veram peccatorum meorum poenitentiam...” — czytało mi się samo bezwiednie, podczas gdy wszystkie myśli czujące uleciały w przeszłość, w tę „Księżkę Umarłych”, leżącą przede mną, w Księżkę Umarłą, gdzie wszystko tętniało życiem, pulsowało krwią dawnych pokoleń, krwią mego pokolenia, krwią moją własną.

Nie wiem, jak to się stało, ale uczulem nieprzemówione pragnienie klęknąć przed „Księżką Umarłych”, jak przed relikwią, i na głos powtarzać słowa modlitwy, wypisanej ręką „Ojca Dobrodzieja”, a którą to modlitwę wujaszek Klemens odmawiał uroczystie, ilekroć wybierałem się gdziekolwiek w drogę:

„...Sub tuum praesidium confugimus, sancta Dei Genitrix... Nostras deprecationes ne despicias in necessitatibus, sed, a periculis cunctis libera nos semper, Virgo gloriosa et benedicta...”

I kląkłem — i powtarzałem, aż pierwszy słoneczny promień padł skośnie przez okno, prześwietlając złotawym blaskiem spiętrzoną stertę papierów na biurku.

Ten promień słońca przypomniał mi, że to już dzień, że dziś wyjeżdżam i że winienem jeszcze pożegnać w Roszance pannę Olesię.

XXI.

— Wiedziałam, że pan dziś przyjedzie! — mówiła wesoło panna Olesia, idąc obok mnie po ogrodowej ścieżce. — Igła mi dzisiaj rano upadła na podłogę i stanęła sztorcem, a to znaczy, że trzeba spodziewać się gościa.

Była rozradowana, gdyż matka czuła się o wiele lepiej. Nie mogąc dopatrzeć się związku między igłą, która stanęła sztorcem, a moją wizytą, uśmiechałem się i potakiwałem głową z zapalem. Śmieliśmy się oboje do słońca, które świeciło jaskrawo poprzez prawie nagie jeszcze gałązki, do siebie i do losu, że zdarzył taki przepiękny ciepły dzień po to, abyśmy mogli wyjść do ogrodu i wypatrywać, jak z ziemi wychylają się pierwsze źdźbła trawy soczystej i świeżej.

Panna Olesia raz po raz potrząsnęła czupryną jasnych włosów, zwracając ku mnie rozpromienioną weselem twarzyczką.

— Ależ pan się zmienił! — krzyknęła nagle, przystając i składając ręce. — Dopiero teraz widzę. Spoważniał pan i strasznie zmierzniał... Może to ten mundur, czy co, ale taką pan ma bladą twarz, że prawie zielonkawą.

— To pani wina.

— Jakto, moja?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ilustrowany Przegląd Katolicki

Ojców mowy — Ojców wiary — Brońmy zgodni — Młody — Stary

Nr. 1

HERNE, Na Nowy Rok 1939

Rok IX

O zavitaj Roku Nowy!

O zavitaj Roku Nowy! Ty z Bożego idziesz wieca,
Powiedzże nam, przemów słowy, jaka będzie dola kmieca?
Co tam o nas uradzają w onej rajskiej Bożej radzie?
O nas matkach, o dzieciaskach, o tej ziemi, o gromadzie?

Czy się też tam przechyliła ona szala naszej biedy?
Czy się znaczy dobra dola i skąd przyjdzie nam i kiedy?
Czy daleko od nas jeszcze miłosierne ono lato,
Ze zaśwleci jasno słonko nad tą ziemią, nad tą chatą?

Równo, równo trzyma w niebie złote szale ręka Boża!
Ni dla pana, ni dla chłopca, tylko wszystkim schodzi zorza!
Ile światła w swojej duszy, tyle słonka świecić będzie,
Tyle ziarna kłosa dadzą, ile potu na twej rzędzie!

Dobra dola tem się znaczy co milują ziemię-matkę,
Co milują ludzi-braci, słodką zgodę, czystą chatkę!
A nie będzie szła jej drogą, ani z wschodu, ni z zachodu,
Jeno z wiary w lepsze jutro, jeno z pracy dla narodu!

Miłościwe lato Boże idzie ku nam, idzie oto...
A kto serce w niebo wznosi, ujrzy jego ścieżkę złotą!

Przedpłata miesięczna „Przeglądu Katolickiego” wraz z jednym numerem codziennej gazety wynosi mk. 0,60
Zamówić można „Przegląd” na każdej poczcie lub u listowego. Drukiem i nakładem spółki wydawniczej Sztandar Polski G.m.b.H.
Herne / Za redakcją odpowiada: Marian Kwiatkowski / Poczłowe konto czekowe: Dorimund 16619 / Telefon 50960